

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 197·60 Marek, Półrocznie 395·20 Mk. Rocznie 790·40 Mrk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 5 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 8·—, za wiersz nonpareilowy, jednoszpaltowy 10 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjn. 20 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. [illegible]

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: **Julian Bartoszewicz.**

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódz, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 16 Marek.

Rok XVIII. **Kraków, 16. kwietnia 1921.** **Nr. 16.**

Manifestacya Wilnianek przeciw stronniczemu delegatowi Koalicyi



Kobiety wileńskie obrzucają jajami w sali dworca kolejowego pułkownika Chardigny.

Manifestacya Wilnianek przeciw stronniczemu delegatowi Koalicyi.

(Do illustracyi tytułowej).

W ubiegłym tygodniu było Wilno widownią przykrego zajścia, skierowanego przeciw delegatowi państw sprzymierzonych, francuskiemu pułkownikowi Chardigny. Bawił on we Wilnie z polecenia swego rządu celem zbadania miejscowych stosunków i obmyślenia sposobu wyjścia z konfliktu polsko-litewskiego. Niestety, pułkownik Chardigny w ciągu całego swojego pobytu we Wilnie dał tyle dowodów swej stronniczości względem Polaków, że wywołało to w sferach tamtejszej ludności ogromne rozgoryczenie. Zwłaszcza Wilnianki rozżalone były na francuskiego delegata, który wobec nich dopuścił się całego szeregu nietaktów, nie licujących bynajmniej z przysłowiową galanteryą francuską.

W krytycznym dniu postanowiły mieszkanki Wilna upomnieć się o swoje prawa, zagrożone poważnie przez pułkownika Chardigny'ego, który, występując stale i otwarcie jako rusofil, nie krył się z tem bynajmniej, że starania jego skierowane są do oddania Wileńszczyzny Rosyi, mającej do niej uzasadnione pretensye. W projekcie swym zatem, aby osłabić szanse polskie w ewentualnym plebiscycie, odmówił kobietom prawa głosowania.

Odbyły się z tego powodu w Wilnie wiece protestacyjne. Pułkownik Chardigny zawsze tak zręcznie manewrował, że protestujące przeciw jego pomysłom kobiety, nie mogły zetknąć się z nim bezpośrednio.

Gazety doniosły, że wyjeżdża do Kowna. Zebrała się więc delegacya złożona z wszystkich warstw społeczeństwa i weszła na salę dworca kolejowego, zwracając swą przemowę do p. Chardigny. Ten nie wstając z miejsca, nie wyjmując z ust papierosa, w szorstki sposób na przemowę francuską, odpowiadał po rosyjsku.

Gdy go jedna z pań zainterpelowała o to, pytając, czy byłoby mu przyjemnie, gdyby ktoś postąpił z nim tak w Strasburgu? zaczął odpowiadać po francusku.

W końcu zerwał się z krzesła oświadczając, że nie ma nic więcej do powiedzenia i chciał salę opuścić. Wówczas jedna ze studentek rzuciła na niego jajkiem; cała delegacya zaczęła rzucać jajka, doprowadzając go do tego stanu, iż musiał uchodzić, by ratować się od żółtej ulewy.

Publiczność i podróżni ze stojącego pociągu warszawskiego, wszyscy wraz z delegacyą krzyczeli:



Zjazd ewangelików Polaków w Krakowie: Tablica pam. Mikołaja Reja w kościele ewangelickim w Krakowie fund. przez rodz. Grosse i Maurizio, a odsłonięta w d. 10 bm.

— Vive la France! a bas Chardigny!

Władze wileńskie wyraziły delegatowi francuskiemu ubolewanie z tego powodu i przeprosiły go za eksces Wilnianek.

Zajście nad wyraz przykre, wywołane zostało postępowaniem pułkownika Chardigny'ego, wroga nam prasa zagraniczna nie omieszka przecież skorzystać ze sposobności, aby przyczynić się do osłabienia sympatyi polsko-francuskich, choć manifestacya Wilnianek, doprowadzonych do ostateczności, nie była skierowaną bynajmniej przeciw rządowi lub narodowi francuskiemu, jedynie przeciw osobie pułkownika. Rząd francuski niewątpliwie nie podzieli tych zapatrywań, przedwczesne zatem są obawy autora artykułu, zamieszczonego w „Journal de Pologne", że wiadomość o wypadku wileńskim wywrze przykre wrażenie nad Sekwaną.

Zjazd ewangelików Polaków w Krakowie.

W niedzielę 10 kwietnia odbył się w Krakowie zjazd delegatów Polaków ewangelików z Małopolski. Zjazd był spowodowany akcyą ewangelików Niemców Małopolski z zastępcą sup. ks. Zoecklerem w Stanisławowie na czele zdążającą do uzyskania odrębnej organizacyi kościelnej niezależnej od ewangelickiego konsystorza w Warszawie. Ewangelicy Niemcy uzasadniają swoje dążenia tą okolicznością, że w b. Królestwie istnieją dwa odrębne kościoły ewangelickie, anglikański i helwecki, a w Małopolsce ewangelicy augsburgskiego i ewangelicy helweckiego wyznania łączą się we wspólne obozy pod wspólną władzą dyecezyalną. Motyw ten jest nieuzasadniony, gdyż w byłem Królestwie również w niejednym zborze augsburscy i nieliczni reformowani żyją razem.

Głównym motywem dla ewangelików Niemców Małopolski jest bojaźń przed polską Warszawą. Za czasów Józefa II. zostali wprowadzeni do kraju jako koloniści, aż do końca czasów austryackich mieli dla swojej niemieckości silne oparcie w Wiedniu i w naczelnej ewang. Radzie kościelnej w Wiedniu. Czasy to minęły, szukają nowego oparcia. Ale gdzie? Z Polską trzeba się liczyć, twierdzą, że są lojalnymi obywatelami Polski, ale żeby się tak za bardzo z Polską nie wiązać! Żeby jeszcze przynajmniej zachować odrębną organizacyę kościelną, w którą konsystorz warszawski nie mógłby za głęboko wglądać! A wolność wyznania powinnaby być pomocną!

Ale cóż, ewangelicy polscy są innego zdania! W niedzielę odbył się w Krakowie ich Zjazd. Powitał ich w szkole zboru ewang. ran. . Paweł Świerteła, starszy radca kolej., były poseł i pastor Michejda, wspominając tradycye zboru krakowskiego. Prezesem honorowym Zjazdu wybrano superintendenta gener. ks. Burschego z Warszawy, prezesem dra Leopolda Schellenberga ze Lwowa.



Zjazd polskich techników w Krakowie: Grupa uczestników Zjazdu w dziedzińcu arkadowym Wawelu.



Zjazd ewangelików Polaków w Krakowie Ołtarz w kość. ewangelickim w Krakowie z słynnym obrazem przedstaw. Chrystusa na morzu, pendzla H. Siemiradzkiego.

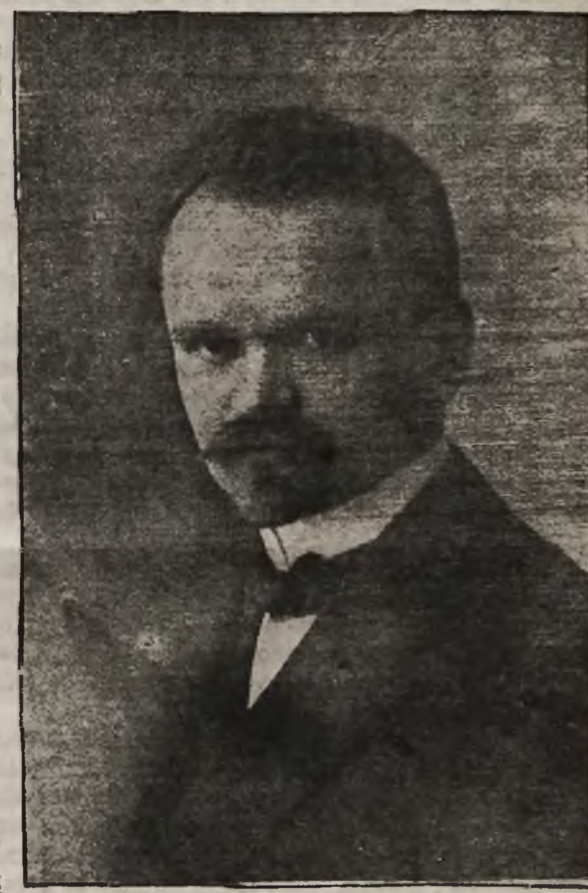
wiceprezesami p. Stwietnię z Krakowa i prof. Weimera z Nowego Sącza.

O godz. 10.30 rozpoczęło się w kościele uroczyste nabożeństwo, połączone z odsłonięciem tablicy Mikołaja Reja, fundowanej przez rodziny Maurizio i Grosse, wykonanej przez rzeźbiarza prof. Jana Raszkę. Liturgię wstępną odprawił kapelan ks. Grycz; ks. Michejda poświęcił przemówienie działalności literackiej Reja; sup. gen. Bursche wzywał zgromadzonych do chrześcijańskiej pracy obywatelskiej. W nabożeństwie wzięli udział, oprócz uczestników Zjazdu, profesor Kostanecki, jako delegat Akademii Umiejętności, delegacya Uniwersytetu Jagiellońskiego z rektorem Estreicherem na czele, oraz delegacya nauczycieli szkół średnich. Uroczystość kościelną zakończono odśpiewaniem hymnu: Boże, coś Polskę.

Popołudniu o godz. 3 rozpoczęły się obrady. Przewodniczył dr. Schellenberg. Pastor Michejda przedstawił najpierw zasadniczą rezolucyę określającą stanowisko ewangelików Polaków w państwie: z uzyskanych konstytucyjnie w Polsce praw chcemy dla dobra Polski korzystać. Następnie przedstawił potrzebę przyłączenia zborów Małopolski do organizacyi zborów b. Królestwa i rezolucyę do Sejmu z prośbą o takie przyłączenie: odrębna organizacya zborów Małopolski nie powinna być pomocą w uprawianiu pracy germanofilskiej połączonej z upośledzeniem ewangelików Polaków w zborach. W dyskusyi zabierali głos sup. Bursche, dr. Schellenberg, prof. Weimer i inni. Rezolucyę przyjęto i uchwalono prosić Sejm, by przy rozstrzyganiu sprawy organizacyi zborów Małopolski wysłuchał przedstawień delegacyi Zjazdu.

Następnie kapelan Grycz wygłosił referat o mniejszościach polskich w zborach Małopolski i przedstawił rezolucyę skierowaną do tymczasowego wydziału kościelnego w Stanisławowie domagającą się rzetelnego uwzględnienia mniejszości polskich w zborach pod względem nabożeństw, nauki religii i prowadzenia metryk. — Po ożywionej dyskusyi, w której szczególnie dużo mówiono o Sączu, rezolucyę uchwalono.

Na tem zjazd skończono. Uczestnicy rozeszli się zadowoleni i umocnieni.



Zjazd ewangelików Polaków w Krakowie: Proboszcz gminy ewangelickiej w Krakowie, pastor Karol Michejda, jeden z głównych inicyatorów obecnego Zjazdu.

Zjazd polskich techników w Krakowie.

W dniach 3 go i 4-go kwietnia b. r. odbył się w lokalu Tow. Technicznego przy ul. Straszewskiego 28. ogólny Zjazd techników całej Polski.

Na Zjazd przybyli imieniem Min. w. R. i O. P. Dr. Kraze, im. Min. kol. żel. inż. Suchanek, im. Min. pracy i opieki społecznej inż. Smyczyński,



Powrót pierwszej partyi jeńców polskich i zakładników z Rosyi: Pierwsza grupa jeńców i zakładników polskich, którzy w dniu 19 marca b. r. powrócili do kraju z butyrskiego więzienia w Moskwie. W gronie zakładników znajduje się członek polskiej misyi „Czerwonego Krzyża“ na Ukrainie p. Zieliński, oraz członkowie „Komitetu Pomocy Zakładnikom Pols. w Rosyi“ pp.: Barylski, Moszkowski, br. Krasiccy z synem, Furniewicz, Prądkowski, Rogiewicz, Psarscy, ks. Iwicki, p. Iwicka, Barylska, Moszkowska i p. Jewniewicz i Piątkowski.

m. min. Ośw. rządu Ukr. dyr. Złotczański, z dyrekcyi Okr. Robót Publ. wicedyr. inż. Engel, z Oddz. małopol. M.n. przem. i handlu w Krakowie wiceprezes r.ca Peroś, im. Tow. Techn. w Krakowie Int. Zgliński, im. Izby B.downiczych w Krakowie prezes arch. Wyczyński, z Koła Wawelberczyków i im. Stow. Techników w Warszawie inż. Kłosowski, im. Zw'ązku Szkoły bielskiej pp. Czermak i Haempel, z Dyrekcyi Wyższej Szkoły Przemysłowej w Krakowie dyr. inż. Kostecki z gronem profesorów, szereg przedstawicieli świata przemysłowego i około 200 absolwentów Wyższych Szkół Przemysłowych i równorzędnych zakładów.

W pierwszym dniu Zjazdu odbyło się posiedzenie plenarne na którem po powitaniu i mowach delegatów utworzono sekcyę szkolną, uprawnień, ekonomiczną i prasową. Sekcye te powzięły szereg uchwał, niezwykłej doniosłości dla życia przemysłowego, w szczególności zaś dla szkolnictwa, zawartych w apelach i memoryałach wystosowanych do odpowiednich władz.

Zjazd wystąpił przeciwko niezdrowej tendencyi płynącej z Warszawy gdzie garstka ludzi o wykształceniu politechnicznem chce wyzyskać wszystkie korzyści, jakie dają uprawnienia przemysłowe, a techników bez tego wykształcenia zepchnąć do roli białych murzynów.

Po wyczerpujących dyskusyach Zjazd biorąc pod uwagę wymagania życia, i ekonomicznego rozwoju protestuje przeciwko wszelkim popędom niektórych czynników w ministerstwie Oświaty mającym na celu obniżenie poziomu naukowego średnich szkół przemysłowych. Zjazd Techników stwierdza, że przeważnie absolwenci średnich szkół technicznych okazali się w życiu technicznem tą warstwą zawodową, która przemysł, a tem samem rozwój ekonomiczny stwarza i potęguje. Dlatego poziom naukowy średnich szkół technicznych ma być wysoko postawiony, aby umożliwiał ich wychowankom dojście do wyżyn technicznego i przemysłowego rozwoju oraz praktycznych jego zastosowań. Wobec tego należy: 1) pozostawić conajmniej dotychczasowy poziom średnich szkół technicznych i wszystkie dotychczasowe prawa absolwentów, 2) pogłębić studya przez wprowadzanie kursów przygotowawczych lub przez podwyższenie warunków przyjęcia do szkoły.

Zjazd wypowiada się jednomyślnie za tem, aby pobory profesorów wyższych szkół przemysłowych zrównano z poborami wyższej uczelni. Z powodu minimalnego wynagrodzenia profesorów, zakłady nie mogą na stanowiska nauczycielskie powoływać odpowiednich sił fachowych; 3) Zadaniem Zjazdu jest załatwienie zmiany nazwy wyższych szkół przemysłowych na Akademie techniczno przemysłowe.

Wreszcie inż. Mianowski na podstawie porozumienia z profesorami Wyższej Szkoły Przemysłowej w Krakowie Ekielskim i Albertim postawił wniosek, by każdy z wydziałów szkolnych usamodzielniono. Wniosek uchwalono.



Po ukonstytuowaniu się gabinetu waszyngtońskiego: Delegat rządu francuskiego, wybitny polityk R. Viviani bawiący obecnie w Ameryce.

Rezolucya sekcyi uprawnień domaga się od Komisyi weryfikacyjnej przy władzach centralnych, by absolwentom wyższych szkół przemysłowych pozostającym dotychczas w służbie wojskowej i jako urzędnicy państwowi przyznano dodatek za studya wyższe, a mianowicie, by absolwentom bez tytułu inżyniera zaliczono jeden egzamin, budowniczym dwa egzamina państwowe.

Uchwały dwóch ostatnich sekcyi odnoszą się do wewnętrznych spraw Związku techników.

Po ukonstytuowaniu się gabinetu waszyngtońskiego.

Zmiana na stanowisku prezydenta Stanów Zjednoczonych pociągnęła za sobą również zmianę dotychczasowego rządu. Ze zmianą tą łączyły zwłaszcza Niemcy daleko idące nadzieje, jak się przecież dziś już jasno okazuje, wybitnych różnic w stosunku Ameryki do Europy spodziewać się nie należy. Gabinet Hardinga już się ukonstytuował, a z kilku enuncyacyi, które doszły do naszej wiadomości, wnosić należy, że stoi ściśle na punkcie wypełnienia postanowień traktatu wersalskiego i niema bynajmniej zamiaru popierania Niemiec wbrew interesom Koalicyi zwłaszcza zaś Francyi.

Na ten czas przypadła także wizyta wybitnego polityka francuskiego Viviani'ego, który bawi w Ameryce jako delegat nadsekwańskiej republiki. Według twierdzeń jednych, mają te odwiedziny charakter zwykłej tylko grzeczności, inni natomiast są zdania, że chodzi tu o rzecz daleko ważniejszą, bo o przygotowanie sojuszu między Francyą a Ameryką, skierowanego głównie przeciw Niemcom.

W dniu pierwszego maja upływa ostatni termin zapłacenia przez Niemcy dwudziestu miliardów w złocie odszkodowania wojennego, co gdy nie nastąpi, Francya zdecydowaną jest chwycić się najenergiczniejszych środków przymusowych. W tym celu stara się Francya o poparcie Ameryki nie mogąc zbytnio liczyć na pomoc Anglii, która mając na oku własny jedynie interes nie wiele zważa na swych sojuszników, rozmaitego rodzaju korzystne dla siebie układy zawierając poza ich plecami. Francya nieufnie spogląda zwłaszcza na zbytnie czułości angielsko-japońskie, przeciwwagą ich miało by być zbliżenie francusko-amerykańskie.

Viviani spotkał się w Ameryce z bardzo serdecznem przyjęciem nietylko sfer oficyalnych, ale i najszerszych kół społeczeństwa, widzących w zacieśnieniu stosunków między Francyą a Ameryką gwarancyę trwałego pokoju. Wprawdzie Ameryka ma na wniosek senatora Knoxa uznać, że stan wojenny z Niemcami wygasł, charakterystycznem przecież jest oświadczenie rządu amerykańskiego, ogłoszone w czasie pobytu Viviani'ego, że Stany Zjednoczone każde naruszenie przez Niemcy obecnego porządku europejskiego, uważać będą jako wystąpienie przeciw swym własnym interesom.



Po ukonstytuowaniu się gabinetu waszyngtońskiego: Prezydent Harding (X) w otoczeniu członków swego gabinetu przed pierwszem posiedzeniem w „Białym Domu". Od lewej ku prawej siedzą: John Weecks (wojna). A. Mellon (finanse), Ch. E. Hughes (sekretarz stanu), Harding, C. Coolidge wiceprezydent), E. Denby (marynarka); stoją: A. Fan (sprawy wewn.), W. Hays (poczty), H. Daugherty, H. Wallace (rolnictwo), H. Hoover (handel), J. Davis (praca).

K. CZEREMOSZ.

KRWAWE DZIEDZICTWO

2. POWIEŚĆ.

U pani Czarskiej było dzisiaj wielkie przyjęcie!

Pospraszała same honoratiore, adwokatowe, doktorowe i najgrubszą z nich rybę panią prezydentową z córkami, żonę wysokiego urzędnika. W całem towarzystwie niema ani jednej kupcowej — myślała z dumą pani Czarska.

Młodych ludzi dostarczył pan Michał, również z „lepszej" sfery, adjunktów sądowych, obrońców prawnych, lekarzy bez praktyki.

Pani Czarska była w dobrym humorze, jedno tylko zakłócało jej spokój, że tak dużo kosztować będzie to przyjęcie.

Jest zaproszonych osób szesnaście — myślała krzątając się po pokoju — a wzięłam pięć funtów polędwicy, czy nie będzie za mało? wprawdzie ja nie siądę do stołu, a Celinie szepnę, żeby wcale nie brała. Ciastka poprzekrawałam więc jest ich dosyć, co zaś do tortu tego nawet obnosić nie każę, zostanie nadrugi raz. Muszę wyjąć cukier, ale niema kluczów, panno Celino gdzie klucze?

— Nie widziałam proszę pani — odparło dziewczę z drugiego pokoju, zajęte ubieraniem dzieci.

— Aha mam je, były u mnie w kieszeni! jak pani myśli — dodała poufnym tonem do wchodzącej Celiny — czy te dwie cukierniczki wystarczą do herbaty, w każdej jest po trzydzieści kawałków. Musiałam porachować — dodała spostrzegłszy zdziwione spojrzenie Celiny — bo inaczej służba rozkradłaby wszystko.

— Może wystarczą — odparła Celina.

— Trzeba wszystko samej robić — ciągnęła dalej pani Czarska — bo te sługi uważa pani to tylko są na to, aby nas okradały. Cóż to chciałam powiedzieć? Aha, jak będą obnosić polędwicę, to niech pani nie bierze, jakoś jej za mało, a pani domowa.

— Dobrze. — rzekła Celina nie zdziwiona wcale, widać nie raz już podobne ostrzeżenie jej robiono.

— Dzieci ubrane? — pytała p. Czarska, a na potakujące skinienie Celiny mówiła dalej — to niech mi pani pomoże, rozciągnijmy stół, więcej, więcej, o! tak, dobrze. A teraz obrus, oto wyprasowany, „jak psu z gardła wyciągnięty", oj te sługi te sługi! Na środku uważa pani będzie tort, a po bokach te koszyki z ciastami.

— Ależ te ciastka poprzekrawane — wyrwało się Celinie.

— Naturalnie, zawsze tak robię, za to jest ich jeszcze raz tyle.

— Ale jakie maleńkie — zauważyła Celina.

— Moja panno Celino, nikt przecież nie przychodzi na jedzenie — rzekła p. Czarska z godnością. — Z Panien to nawet mało co która skosztuje, dla nich najgłówniejszą rzeczą zabawa i młodzież, no a tego dzisiaj nie braknie, młodzież będzie wyborowa. Chcę także, aby i pani się zabawiła — mówiła dalej łaskawie. — Wszystkim opowiedziałam, gdzie pani pensyę skończyła, niechże mi pani wstydu nie zrobi. Celina spuściła głowę, przypomniała sobie zebrania, w których uczestniczyła młodą dziewczynką, składające się z bogatych ziemian i oburzała się na te nowoczesne przestrogi małej mieszczanki.

Ślicznie wyglądała w białej sukience, ubieranej srebrnym haftem, ale nie cieszyło jej to, podobać nie miała się komu, a do zabawy, choćby miała ochotę, nie będzie ani czasu, ani sposobności. Jakby na potwierdzenie tego, odezwała się znowu p. Czarska.

— Zostań pani w salonie i staraj się wciągnąć w rozmowę przybyłe panny, ale przytem uważaj pani na dzieci, trzeba do nich zaglądać, aby się nie biły i nie hałasowały.

Nagle doleciał silny zapach spalenizny — Oho! — krzyknęła p. Czarska — już coś Kaśka zmalowała. — z temi słowy wybiegła do kuchni i zaraz rozległ się krzykliwy głos pani i pisklliwe usprawiedliwianie służącej.

Celina chciała się co prędzej usunąć, lecz zanim doszła do drzwi, wbiegła p. Czarska zdyszana i czerwona.

— A to szelma — zawołała — spaliła polędwicę! Trzasnęłam ją po plecach, ale to mi szkody nie wróci, i co teraz robić?

Załamała ręce! Z czerwoną twarzą, przekrzywioną fryzurą i temi załamanemi rękami była tak komiczną, że Celina musiała odwrócić głowę, aby pohamować chętkę do śmiechu.

— I bądź tu w dobrym humorze! — biadała dalej p. Czarska padając na krzesło — baw gości, uśmiechaj się, kiedy człowiek musi nieustannie myśleć co się dzieje w kuchni. Ot ta szelma, czy miała co innego do roboty, prócz pilnowania pieczeni? Nie, musiała, jak się wyraża zbiegnąć po śmietanę, nakładłszy wprzód pełny piec węgla i ot co narobiła.

Celina słuchała w milczeniu, bojąc się słówko dorzucić, aby się na niej gniew cały nie skrupił.

— Gdybym choć miała kogoś mądrzejszego przy sobie — mówiła p. Czarska chłodząc chusteczką rozpalone policzki — ale pani taka niepraktyczna, że pożal się Boże. Ot widzi pani moje położenie, a jednem słówkiem nawet nie odezwie się pani.

— Możeby z restauracyi — szepnęła Celina, niepewna czy tą radą nie rozbudzi nowego gniewu.

— Z restauracyi — zawołała p. Czarska podnosząc ręce — z restauracyi i dać ze czterysta marek za jeden półmisek. Na taki zbytek uważa pani nie mogę sobie pozwolić, nie jestem tak wielką damą. Ha pójdę — dodała — rzucając na stół chusteczkę, którą się chłodziła — pójdę może jeszcze da się co naprawić.

Celina odetchnęła i pospieszyła do dzieci. Jednemu zapięła sukienkę, drugiemu poprawiła kołnierz, porozkładała zabawki i zachęcała je do zajęcia się niemi.

Przerwał jej głos p. Czarskiej ze salonu. Lampy były już pozapalane, a p. Czarska uspokojona stała przed lustrem dopinając ostatnie haftki.

— No cóż, dobrze wyglądam, jakże moja suknia? tak się zalterowałam z tą małpą, że nawet o ubraniu zapomniałam.

— Dobrze — odparła Celina oglądając niemodną suknię i nieporządną fryzurę z opadającemi kosmykami włosów. — Możeby pani grzebykami te włosy podpięła — dodała wskazując pasma włosów.

— Grzebyk mi się złamał — odpowiedziała p. Czarska obojętnie — ej i tak będzie dobrze, mnie uważa pani już pretensye nie w głowie.

Goście zaczęli się pomału schodzić! Przyszło najpierw kilku panów, potem jakaś młoda mężatka, panny z matkami, wreszcie główna atrakcya dzisiejszego wieczoru, pani prezesowa z córkami, sucha wyfryzowana Niemka, pokrywająca złe wychowanie oschłością i pogardliwą dumą. Dwie jej córki, Nelli i Klara, były to panny dojrzałe i chude jak matka, Niemki w głębi duszy udające niezręcznie patryotyzm w polskiem towarzystwie.

Celina spełniając wolę pani domu przysunęła się do panien, zawiązując uprzejmą rozmowę, otrzymywała jednak tylko oschłe odpowiedzi i zimne spojrzenia, przytem obrażały ją i mięszały natrętne przypatrywanie się panów, szczególnie p. Michała, który prawie oczu od niej nie odrywał.

Lecz nie był to koniec jej dzisiejszych przykrości.

Zaczęto mówić o muzyce, pani prezesowa znana melomanka, unosiła się razem z córkami nad rozmaitymi mistrzami, szkołami, nad muzyką dawną i tegoczesną, aż wreszcie zakończyła prośbę, aby Celina wychowana w muzykalnem Dreźnie zagrała coś z muzyki klasycznej. Dla p. Czarskiej życzenie p. prezesowej było rozkazem, poparła więc prośbę skwapliwie.

— Ależ ja gram bardzo słabo, do muzyki nigdy nie miałam talentu — broniła się przestraszona Celina.

— O to są tylko panieńskie ceregiele — zapewniała pani prezesowa ze złośliwym uśmiechem, bawiąc się przestrachem dziewczyny.

— A przecież uczysz pani moje dzieci — zauważyła p. Czarska podniesionym głosem.

— Czytania nut — odparła Celina — grać jednak przed obcymi nie potrafię, nigdy nie grałam przed nikim.

— Aleś dla czego? jak pani zechce to i potrafi — rzekła p. Czarska, a podchodząc bliżej szepnęła. — Pani prezesowa życzy sobie tego.

Młoda dziewczyna z westchnieniem podeszła do fortepianu, wiedziała, że nic nie pomogą wymówki, drżała jednak z obawy, a zesztywniałe palce odmawiały wprost posłuszeństwa.

O muzyko, rozkoszo wybranych, jakąż jesteś torturą dla nieszczęsnych ofiar konwenansu!

Siadła, prócz kilku fałszywych uderzeń nic nie potrafiła wydobyć z klawiszów, odsunęła więc taboret i rzekła czerwieniąc się:

— Czyż nie mówiłam, że nie potrafię?

— Okryłaś mnie pani śmiesznością — szepnęła z gniewem p. Czarska zbliżając się do niej — co pomyślą o guwernantce, która nawet grać nie umie! Wyjdź pani, żeby o tem zapomniano.

Nigdy posłuszeństwo nie było tak miłem Celinie, wychodząc jednak zauważyła dyskretne uśmieszki i szydercze spojrzenia gości.

Na ogólne prośby zagrała teraz panna prezesówna, jakąś długą i trudną fantazyę Liszta, a Celina połykała łzy upokorzenia i z goryczą myślała o swem opuszczeniu i zależności od tak bezwzględnej osoby jak p. Czarska.

Szumne akordy dochodziły ją z drugiego pokoju, muzyka zagłuszała każdy szmer, kiedy tuż nad uchem usłyszała cichym głosem wyrzeczone:

— Cesiu, moja droga Cesiu — —

Odwróciła się i ujrzała pana Michała opierającego się o poręcz jej krzesła.

— Czego pan sobie życzy — zapytała zimnym tonem, mierząc go oburzonem spojrzeniem.

— Chcę panią przeprosić za siostrę — odparł trochę zmięszany — ach, gdybyś mię pani zrozumieć chciała — dodał z wybuchem — gdybyś chciała porzucić tę niewdzięczną pracę i — została moją — twarz jego mieniła się nieukrywanem wzruszeniem.

— Nie rozumię pana — odparła dziewczyna patrząc nań ze zdziwieniem.

— Uścieliłbym ci śliczne gniazdko, otoczyłbym miłością, każde twoje skinienie byłoby dla mnie rozkazem — mówił bez tchu prawie.

— A w zamian coby pan żądał — zapytała Celina, z powagą patrząc na niego.

— Trochę miłości — Pochwycił małą rączkę i okrywał pocałunkami. Wysunęła mu ją ruchem obojętnym i rzekła spokojnie:

— Tej panu dać nie mogę! Pańskie nadskakiwania powiększają tylko trudności mego położenia, a całe postępowanie pana odpycha mnie. Zresztą nie myślę iść za mąż, mam inne cele przed sobą.

Pan Michał osłupiał! Za mąż? Co ta mała mówi, za mąż? Czy taka naiwna, czy udająca naiwność? A jaka duma szatańska, moje postępowanie odpycha ją!

Odstąpił z miną obrażoną, przyrzekając sobie nauczyć ją rozumu. Rozkochać, rozkochać tak, aby była woskiem w mojem ręku — myślał z gniewem — a wtedy — uśmiechnął się — czyżby to było tak trudnem? Zobaczymy — szepnął podkręcając wąsa.

Minęło kilka tygodni. Pan Michał korzystając z pięknych dni, urządził w pewną niedzielę familijną wycieczkę na Wolę, licząc naturalnie na obecność nauczycielki. P. Czarska jednak zarządziła inaczej i zostawiła Celinę dla pilnowania domu. Szczęśliwa z upragnionej swobody zamknęła się z książką. Wkrótce jednak usłyszała dzwonek, a otwierając, zobaczyła pana Michała.

— Czy pan zapomniał czego? — zapytała z nieukrywaną niechęcią.

— Tak, to jest — —

— Proszę powiedzieć, to przyniosę.

— Tutaj, do przedpokoju.

— Jestem sama, a pani Czarska nie kazała przyjmować nikogo.

— Czy i do mnie się to stosuje?

— Bez żadnych wyjątków.

— Pani daruje, ale w domu mojej siostry mogę i ja się rozporządzać — rzekł zirytowany — proszę racz się pani usunąć.

(Dalszy ciąg nastąpi).

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA
MARYA TOCZYSKA

36 I.

— A jednak gdybym odszedł?
— Uczyniłby pan bardzo źle.
— Nie jestem jednak zmuszony odpowiadać panu.
— Pan się myli. Pan o tem wie. Pan jest jedynym, najważniejszym świadkiem zbrodni. Policya potrzebuje zeznań pana — dodał komisarz trochę grzeczniej, aby mnie uspokoić.
— Dobrze. Lecz proszę się ze mną nie obchodzić jak z winnym — odparłem spokojnie.
Dziwny błysk zajaśniał w zimnych oczach komisarza. Przeszedł mnie dreszcz, jak wówczas, kiedy ujrzałem hrabinę Loredano, zbliżającą się do ciała mojego biednego przyjaciela.
— Czy znane panu jest życie hrabiego Lambertini'ego — podjął znowu komisarz.
— Bardzo mało.
— Czy grał? Czy lubił kobiety, intrygi?
— Tak, jak każden człowiek na jego stanowisku.
— Nic szczególnego?
— Niewiem o niczem.
— Czy przypuszcza pan, że mógł wzbudzić nienawiść, zemstę w kimkolwiek?
— Nie sądzę — odparłem po chwili wahania.
— Czy starał się o względy hrabiny Klary Loredana?
— Niewiem, ale zdaje mi się, że nie.
— Jednakże bywał często u niej.
— O tem wiem. Ale nie było w tem żadnej intencyi.
— Zkąd pan wie o tem?
— Sam mi to mówił — odpowiedziałem nieostrożnie.
— Ah! A więc panowie zwierzaliście się w swoich sprawach miłosnych. A więc to pan starał się lub stara o względy hrabiny?
— To pytanie wydaje mi się niepotrzebnem.
— Ja tak nie myślę. Proszę o odpowiedź.
— Znajdujemy się w domu hrabiny, panie komisarzu — zwróciłem mu uwagę.
— Dobrze. Nie chce pan na to mi odpowiedzieć.
— Tak. — Odmawiam.
— Zapamiętam to sobie.
— Do woli pana.
— Czy pan ma jakie podejrzenia co do osoby, która popełniła zbrodnię? — zapytał komisarz po krótkiej przerwie.
— Niemam żadnych.
— Hrabia Lambertini nie zranił się sam przecież.
— Oczywiście.
— Wydaje mi się zresztą, że nie był skłonnym do samobójstwa?
— Nie. To był człowiek szczęśliwy. — Był kochany.
— Kochany? A więc pan wie o jakimś jego stosunku miłosnym?
— Nie mogę panu nic powiedzieć w tym przedmiocie.
— Dlaczego?
— Bo ta tajemnica nie należy do mnie.
— Hrabia Lambertini posiadał zatem tajemnicę? To komplikuje bardzo położenie.
— Każdy mężczyzna posiada tajemnicę.
— Tajemnicę... ciężką??
— Być może.
Czy kochał żonę innego? Kochankę przyjaciela może?
— Nie mogę nic powiedzieć.
— Panie hrabio Alimena, wie pan, że zdarzył się wypadek wielkiej wagi tej nocy. Panu zaś wiadomem jest coś z życia tego nieszczęśliwego, który zamiera tam może w drugim pokoju. Jest tu może okoliczność jakaś, któraby rzuciła pewne światło na całą sprawę zbrodni — — a jednak pan milczy.
— Milczę, bo jestem zdania, że sprawy miłosne hrabiego Lambertini'ego nie mają nic wspólnego ze zbrodnią dokonaną na jego osobie.
— Więc nie chce pan nic powiedzieć?
— Nic — odparłem stanowczo.
Brwi komisarza ściągnęły się surowo i twarz jego przybrała smutny wyraz.
— Czy ma jeszcze co do zapytania? — wyrzekłem zapalając papierosa, czyniąc już ruch do odejścia.
— Jeszcze kilka drobnostek i pozostawię pana w spokoju.
— Służę panu.
— Czy nie zaszła kiedy kłótnia pomiędzy panem a hrabią Ranierim?
— Nigdy.
— Z żadnej przyczyny?
— Z żadnej!
— Czy to on przedstawił pana hrabinie Loredana?
— Tak.
— Na pana żądanie?
— Nie, przypadkiem — przy spotkaniu na ulicy.
— On również przyprowadził pana tutaj?
— Tak.
— A potem przychodził pan już sam?
— Tak.
— Często?
— Kilka razy.
— Czy spotkał pan tu kiedy Lambertini'ego.
— Nigdy.
— Może nie przychodził w tych samych godzinach co pan?
— On tu wcale nie przychodził. Lambetini był zajęty inną kobietą.
— Ah! — szepnął ironicznie komisarz — zapomniałem o tem.
— Czy mogę już odejść — zapytałem.
— Chwilkę jeszcze. Tej nocy wyszliście panowie razem z mieszkania hrabiny?
— Wyszliśmy każdy oddzielnie.
— Pan pierwszy?
— Nie, on.
— Czy pan nie wie dla jakiej przyczyny Lambertini tu przyszedł?
— Chciał opuścić Rzym i przyszedł pożegnać hrabinę Loredana.
Powiedziawszy to zmieszałem się, bo spostrzegłem, że powiedziałem za wiele.
W głębi duszy czułem, że coś tragicznego czai się wokoło mnie, a nie mogłem sobie zdać sprawy zkąd to pochodzi. Rozumiałem, że od dnia znalezienia tajemniczej skrzynki z uciętą ręką, przeznaczenie, czy fatalność ciążyć nademną zaczęła. Ale żebym ja, Robert Alimena, młody patrycyusz rzymski, który od lat trzydziestu nosił nazwisko swoich przodków bez skazy i plamy, był teraz badany przez ajenta policyjnego — tego było za wiele!
— A więc hrabia Lambertini wyszedł przed panem — powtórzył w zamyśleniu komisarz.
— Tak — powiedziałem już to — odrzekłem zdenerwowany i zły na siebie.
— Dlaczego?
— Bo hrabina Loredana zatrzymała mnie na chwilę. Miała mi coś do powiedzenia.
— Ah! I cóż na to rzekł hrabia Lambertini?
— Nic. Pożegnał się i wyszedł.
— Czy był wesoły?
— Tak — jak zwykle.
— Czy nie zmieszał się, widząc, że pan pozostaje z hrabiną?
— Nie. Dlaczego miałby się zmieszać?
— Oh! tak sobie... czy ja wiem... Czy hrabia miał przyzwyczajenie noszenia broni przy sobie?
— Zdaje mi się, że miał w kieszeni mały, amerykański rewolwer.
— Czy pan go widział?
— Tak, raz jeden.
— Poznałby go pan?
— Tak.
— Czy to ten sam? — zapytał komisarz wyjmując rewolwer z kieszeni płaszcza.
— To ten sam.
— Jest nabity, ale żaden nabój nie został wystrzelony.
— To musiała być zasadzka. Lambertini nie miał czasu się bronić.
— Zasadzka? być może, ale zdaje mi się, że się on bronił? — szepnął komisarz zamyślony.
— Czy odnalazł pan ślady walki?
— Nie.
— A więc?
Nie odpowiedział, tylko zapytał po chwili.
— Gdzie pan mieszka?
— W hotelu Europejskim, na placu Hiszpańskim, ale nie pozostanę tam długo.
— Czy zamierza pan przeprowadzić się do innego hotelu, lub wynająć willę w Rzymie?
— Nie. Mam zamiar wyjechać.
— Ah!... Wkrótce?
— Chciałem wyjechać jutro.
— Pan chciał wyjechać jutro — powtórzył komisarz, marszcząc brwi.
— Tak. Lecz pozostanę parę dni jeszcze, aby mieć wiadomości o stanie zdrowia Lambertini'ego.
— Udaje się pan w stronę północy?
— Tak.
— Zapewne za granicę.
— Prawdopodobnie.
— To dobrze. — Dziękuję panu, panie hrabio.
— Żegnam pana, panie komisarzu.
— Do widzenia — wyrzekł głosem tak dziwnym, że znowu dreszcz przebiegł mnie od stóp do głowy.
Wyszedłem z salonu pod wrażeniem silnego niepokoju. W przedpokoju paliły się wszystkie lampy, a na krześle lokaj drzemał, lub też udawał, że drzemie. Zapytałem go czy mogę widzieć hrabiego Lambertini. Wyszedł do drugiego pokoju i powrócił po chwili i dał mi znak, żebym wszedł innemi drzwiami w stronę pokoju, do którego wniesiono mojego przyjaciela. Przeszedłem przez trzy duże pokoje prawie ciemne i znalazłem się nareszcie w gabinecie, gdzie leżał ranny.
Leżał wyciągnięty na wznak, pogrążony w bolesnem odrętwieniu, z głową nizko wspartą na poduszkach, aby zapobiedz krwawieniu się rany. Na piersiach jego odkrytych położono pęcherz z lodem. Twarz jego była rozgorączkowana. Widocznem było, że do tej pory nie odzyskał jeszcze przytomności umysłu — tylko rzężenie jeszcze silniejsze z trudem przeciskało się przez jego piersi. Ręce bezwładnie leżące na kołdrze, żółte były jak wosk. Pochyliłem się nad nim i zawołałem przyciszonym głosem. Nie uniósł powiek i żaden nerw w twarzy jego nie zadrgał. I nagle, kiedy już uczyniłem lekki ruch do odejścia „uczułem", że ktoś się na mnie patrzy. Odwróciłem się. W półcieniu pokoju, oświetlonego lampą zakrytą abażurem, dostrzegłem sylwetkę hrabiny Klary Loredana. Siedziała w fotelu w tej samej białej sukni, blada, podobna do widma. Głowa jej wsparta była na dłoni, a oczy miały ten sam półobłąkany wyraz, jaki w nich spostrzegłem będąc jeszcze w ogrodzie.
Życzyłem jej dobrej nocy przyciszonym głosem. Uniosła powieki i w oczach jej przemknął błysk silny. I znowu wyraz nieopisanego wstrętu i grozy wykrzywił jej twarz, podczas kiedy odwracała głowę, nie odpowiadając na moje słowa. Coraz więcej zdziwiony jej zachowaniem, czując, że jakaś tragiczna tajemnica zacieśnia się koło mnie, zapytałem ją cicho lecz stanowczo.
— Pani hrabino, proszę mi powiedzieć, co się tu dzieje.
Wstrząsnęła się ze wstrętem i odpowiedziała zagadkowo.
— Pan wie najlepiej.
— Nie wiem nic, nie rozumiem nic.
— Czy nie badano pana?
— Owszem dosyć długo nawet.
— I pan powiedział prawdę? — zapytała z odcieniem ironii i żalu.
— Ja zawsze mówię prawdę! — zawołałem oburzony.
— Niech tak będzie. Ja również powiem prawdę — odpowiedziała mi i spojrzała na mnie tak dziwnie, że silny niepokój zatargał całą moją istotą.
— Jaką prawdę? — zapytałem niepewnym głosem.
— Prawdę, tyczącą się zabójstwa popełnionego na hrabiu Ranierim Lambertini.
— Pani ją zna?
— Tak, znam ją — odpowiedziała stanowczym głosem.
— Znanym jest pani powód zbrodni?
— Tak.
— Wyda go pani władzom?
— Oczywiście.
Wszystkie te odpowiedzi dawane mi były głosem stanowczym, twardym.
— Czy pani jest pewną, że się nie myli?
— Całkiem pewną — rzuciła patrząc mi prosto w oczy.
— Takie zeznanie jest rzeczą ważną.
— Władze już mają ślad pewny.
— Jaki?
— Broń mordercy — wypowiedziała powoli, mierząc mnie wyzywającem spojrzeniem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Starzewskiej.

TOM II.

36

— Proszę mi pomódz — rzekła.

Ostrożnie zdjął płaszcz z jej ramion. Usiadła i ściągnęła rękawiczki, poprawiła poduszki za plecami.

Zachowywała się, jak kobieta, która zamierza dłuższy czas pozostać. Natężała słuch, by znów usłyszeć muzykę, lecz twarz jej nie zdradzała żadnego wysiłku.

Barondi patrzał na nią z powagą. Podniósł fajkę i usiadł opodal. Wiatr dął ze wzmożoną siłą, żaden dźwięk nie dochodził z tamtego namiotu. Kiedy Mrs. Armine się przekonała, że wiatr porwałby tę dziwną, nikłą muzykę, nawet gdyby wciąż trwała, rzekła z pewną brutalnością:

— A jeżeli mój mąż wróci do obozu przed moim powrotem?

— Nie wróci.

— Nie możemy tego wiedzieć.

— Wielbłąd panią tam zawiezie w piętnaście minut.

— Może już wrócił. A jeżeli wrócił?

— Czy pani sobie tego życzy?

Przeniknął jej myśli, zgłębił jej życzenia. Ta muzyka, te ciche dźwięki jakiejś lutni pustyni, wywołane dotknięciem może pomalowanych hermą palców, zabrały jej spokój. W tej chwili pragnęło kryzysu. A jednak, czy mogła się bać Nigla? Czy mogła tchórzyć przed jego dobrocią, kiedy pozna jej zło? Bezwątpienia małżeństwo trochę ją zmieniło, wracając jej pragnieniom pewną nawet pruderyę, o której myślała, że się z nią już dawno pożegnała.

— Sama nie wiem, czego pragnę — rzekła — Lecz nie pozwolę z sobą postępować w sposób w jaki pan myśli, że może sobie ze mną pozwolić. Czy pan wie, że w Europie mężczyźni rujnowali się dla mnie — rujnowali się!

— Pani się to podobało! — rzekł z uśmiechem zrozumienia. — Pani się to bardzo podobało. Lecz ja tego nigdy nie uczynię.

Wstrząsnął głową.

— Dam pani dużo, lecz nie jestem z tych, jak ich anglicy nazywają „dam fools".

Praktyczna strona jego charakteru tak nagle okazana, była jakby dotknięciem zimnej ręki, lekarstwem na jej gorączkę.

— Bo panu o mnie nie chodzi — rzekła po chwilowem wahaniu. — Każdy mężczyzna, któremu chodzi o kobietę, może popełniać dla niej szaleństwa, nawet człowiek Wschodu.

— Dlaczego przybyłem tutaj? — rzekł — Dwa dni przez piaski od Sfinksa.

Bo pana bawiło gonić za angielką. Pan jest okrutnym i to go bawi.

Oczy jego się zwężyły.

— Pani by wolała, żebym za nią nie gonił? Milczała.

— Pani by wolała prowadzić spokojne życie z Mr. Armine?

— Oh! jestem znudzona pożyciem z nim! — zawołał z rozpaczą. — Byłoby lepiej gdybym go zastała w obozie, kiedy wrócę stąd, byłoby o wiele lepiej!.

— A jeżeli go pani zastanie — czy pani mu powie?

Mówił z pogardą.

— Pani nie jest podobną do naszych kobiet — ciągnął. — One wiedzą, jak postępować, żeby otrzymać, czego pragną, nawet za kratami domów swych mężów. One są mędrcami kobietami, kiedy chodzą drogą miłości.

Zepchnął ją do rzędu dziecka. Zadał cios dumie zwycięskiej demimondaine.

— Naturalnie, że mu nie powiem! — rzekła — Lecz może byłoby lepiej, gdybym powiedziała. Jestem zmęczona mojem życiem.

I znowu owionęła ją straszna melancholia, która tak często nawiedza kobiety jej typu i wieku i której się tak bała. Musi żyć w sposób, w jakiby chciała żyć przez tych pozostających jeszcze lat kilka. Musi prędko się wyrwać z tego więzienia, gdyż inaczej nie mogłaby już używać wolności. Miała tak mało czasu przed sobą.

Wicher znowu ucichł i znowu usłyszała nikłe dźwięki lutni.

Kobieta znajdowała się w tamtym namiocie. A ona, Bella Donna, musi wracać do obozu i pozostawić Barondi'ego z tą kobietą.

— Dlaczego pan tutaj przybył? — zapytała.

— Żeby spędzić z panią godzinę.

Ironia, powaga znikły z jego oczu i zostały zastąpione błyskiem, który zmienił cały wyraz twarzy.

A zatem i w nim także było boskie szaleństwo. A może tylko szaleństwo, które boskiem nie było? Nie starała się pytać, ani wiedzieć.

Nocny wiatr porwał się znowu unosząc dźwięki lutni pustyni.

* * *

Tej nocy, nie zwróciwszy na to uwagi Mrs. Armine przeszła Rubikon. Przeszła go, wychodząc z wielkiego namiotu, ażeby wrócić do obozu nad jeziorem. Podczas, gdy była z Barondim, niebo częściowo się wypogodziło i gwiazdy się ukazały. Wygląd obozu się zmienił. To już nie było ponure, tajemnicze zgromadzenie ludzi, zwierząt i namiotów, w części oświeconych światłem ogniska, lub okrytych płaszczem nocy, lecz kojący obraz wypoczynku i wygody, urozmaicony szczegółami karmienia zwierząt, gra, spaniem, lub opowiadaniem dziwnych historyj, które arabowie tak lubią.

Spokój panujący w obozie stał w jaskrawej sprzeczności z burzą, szalejącą wewnątrz Mrs. Armine.

Barondi poszedł rozmówić się z Ibrahimem. Widziała go, jak powoli przechodził przez piasek i zbliżył się do swych ludzi, którzy powstali na jego widok. Przez chwilę stała cicho w cieniu namiotu.

Czyste chłodne powietrze dało jej poznać, że ogień ją pożera. Dreszcz ją przejął. Nietylko ciało, ale cała jej natura drżała.

I znowu usłyszała cichy dźwięk lutni i zobaczyła słaby promień światła na piasku przy małym namiocie. Zapięła płaszcz i patrzała na ten promień, zwróciła oczy na ognisko, poczem uczyniła krok naprzód, postawiła nogę na oświetlonym piasku i czekała.

Po raz pierwszy uczuła, że się boi Barondi'ego, że lękałaby się go rozgniewać, jak pies lęka się rozgniewać swego pana. Lecz czy to go rozgniewa, jeżeli zobaczy, kto gra na lutni? Nie zadał sobie trudu uciszyć muzyki. Traktował kobiety do hant en bas. Po części dlatego właśnie im się podobał — w każdym razie jej się podobał. Co mu to będzie szkodziło, jeżeli ona się dowie, że ma przy sobie kobietę w obozie, i że tę kobietę zobaczy?

A gdyby nawet to go rozgniewało? Czuła, że w tej chwili gotowa się narazić na jego gniew — gotowa się narazić na wszystko — byle tylko zobaczyć tę kobietę w namiocie. W nerwowem podnieceniu i gorzkiej zazdrości, tem bardziej gorzkiej, że chwila jej wyjazdu nadeszła, wyobrażała sobie, jaką ta kobieta być musi: prawdopobnie cudna, jasno-włosa czerkieska, młoda, bardzo młoda, może piętnasto lub szesnasto letnia; a może jakaś dziewczyna z Faum, krainy ładnych, ciemno-skórych dziewcząt z owalnemi twarzami i słodkiemi, podłużnemi czarnemi oczami. Wyobraźnia przedstawiała jej najpiękniejsze dziewczyny. A wtem głośniejsza nuta, jakby westchnienie przedarła się z namiotu. Mrs. Armine podeszła bliżej, podniosła zasłonę i spojrzała.

Wnętrze nie było podobnem do wnętrza namiotu Barondi'ego. Tutaj nie było nic pięknego, chociaż prawie wszystko wyglądało odświętnie. Płócienne ściany okryte były lichym materyałem w czerwone i żółte pasy, na piasku leżały dywaniki w wielkie jaskrawe kwiaty i liście. Na ścianach w pozłacanych, poczerniałych ramach wisiały różne oleodruki i powycinane illustracye z czasopism. Pomiędzy tem wszystkiem znajdowały się przedmioty, wyglądające na amulety — kawałki papieru zapisane arabskiemi literami. Dwie wykałaczki w otwartej drewnianej tutce; woreczki z muszli pomieszane z niebieskiemi i czerwonemi paciorkami i t. p. Na prostym, drewnianym stole stała kopcąca lampa z taniego metalu, a w pobliżu leżał przykryty jaskrawym dywanem materac, służący za łóżko.

W namiocie znajdowały się dwie osoby. Pomimo, że nikłe dźwięki muzyki nasuwały Mrs. Armine myśl o kobiecie, grającym był młodzieniec ubrany w jasno żółty kaftan, płócienne białe szerokie spodnie, żółte pantofle i turban. Był przepasany czerwonym z żółtym wąskim szalem z frędzlami. Siedział w kuczki na ohydnym dywanie trzymając w rękach z pomalowanymi hermą paznokciami dziwny o czterech strunach instrument, z którego wydobywał jęczące ciche tony. Twarz jego zdobiły wąsy i mała czarna broda. Oczy miał przymknięte, głowa zwieszała się na bok, usta nawpół otwarte. Twarz jego miała wyraz słabości i chorobliwego zadowolenia. Od czasu do czasu śpiewał kilka nut zmienionym, nienaturalnym głosem. Opodal niego na materacu siedziała wyprostowana w hieratycznej pozie dziewczyna z podwiniętemi pod siebie nogami, zakrytemi draperyą.

Mrs. Armine patrzała to na niego, to na nią z zajęciem trawionej zazdrością kobiety. Zgadła odrazu, że ten człowiek nie był kochankiem dziewczyny, lecz towarzyszem, może eunuchem, starającym się ją rozerwać. To była kobieta Barondi'ego, która zostanie tutaj z nim razem, podczas gdy ona, związana europejska kobieta musi wracać w nocy do Kurnu. A jednak czy to mogła być kobieta Barondi'ego, to wymalowane pstro ubrane obwieszone świecidełkami stworzenie siedzące bez ruchu na dywanie jak papuga w klatce, obojętne senne prawdopodobnie, a może zagatkowo mrużająca, z papierosem w umalowanych ustach, z tatuowaną brodą? Czy mogła mu się podobać ta twarz, pomimo, że się wydawała młodą pod warstwą szminki, lecz która z pewnością nie uchodziłaby za ładną u człowieka obeznanego z pięknością kobiet Europy i Ameryki, ta twarz o ciężkich rysach, palących wpadniętych oczach, pełnych policzkach i zmysłowych ustach?

Owszem, mogła. Patrząc na nią ze straszną intuicyą rozgorączkowanej i podnieconej kobiety, Mrs. Armine zdawała sobie sprawę z wrażenia, jakie taka istota czyniła na mężczyźnie, jak Barondi. Tu z pewnością nie było ducha, lecz ciało opanowane wolą — odziedziczoną od wielu pokoleń? — być przedmiotem rozkoszy dla mężczyzny; dobrze, nawet pięknie zbudowane ciało, które mogło się poruszać z lekkością, giąć się w tańcu, lub siedzieć wyprostowane, jak teraz, bez ruchu, jak bożyszcze; ciało, które mogło się stroić w kaskady cudownie zabarwionych draperyj, lekkich tkanin i barbarzyńskie kleinoty, które się nie mienią w tęczowe kolory, jaby odbijając niespokojny duch tegoczesnego cywilizowanego świata, lecz są senne, ciężkie i głębokie, jak oczy wschodnich kurtyzan.

Muzyk pustyni nie wiedział, że ktoś stoi w drzwiach namiotu. Z nawpół przymkniętemi oczami grał i śpiewał pogrążony w chorobliwej ekstazie. Kobieta na dywanie siedziała cicho, patrząc wprost na Mrs. Armine. Nie okazywała zdziwienia, ani gniewu, ani ciekawości. Wyraz jej twarzy się nie zmienił. Tylko jej pierś pod barwną tkaniną i klejnotami poruszała się regularnym oddechem.

Mrs. Armine weszła do namiotu i zapuściła za sobą zasłonę. Nie wiedziała co uczyni, lecz była powodowaną pełną goryczy ciekawością, której nie mogła się oprzeć i namiętnem pragnieniem wejścia przemocą w życie tej kobiety, życie tak bardzo różne od jej własnego, a jednak mające związek z niem przez Barondi'ego. Nienawidziła tej kobiety, lecz ta nienawiść była zmieszana z pewnym podziwem, z chęcią dotknięcia się tej malowanej zabawki dającej mu rozkosz, poznania jej uroku, nauczenia się od niej tej dziwnej wiedzy Wschodu. Podeszła i stanęła przy niej.

Natychmiast jedna z umalowanych rąk wysunęła się do jej płaszcza i dotknęła futra. Druga ręka poszła za pierwszą i zaczęły gładzić płaszcz z góry do dołu i z dołu do góry, podczas gdy senne, ociężałe oczy przypatrywały się połyskowi futra. Ciekawość Mrs. Armine zetknęła się z inną, dziecinną ciekawością i nagle z tej tajemniczej chmury trysnął promień naiwności.

Ta naiwność zmięszała Mrs. Armine. Przez chwilę zdawało się, że rozbroi jej gniew, ale wnet dziecinność tej dziwnej rywalki napełniła ją niesłychaną goryczą i dotknięcia jej stały się nie do zniesienia. Dlaczego taka istota ma być szczęśliwą, podczas gdy ona, ze swą pięknością i doświadczeniem żyje w wirze zgryzot i cierpienia? Spojrzała w senne oczy i nagle umalowane ręce opadły i znalazła się przed kobietą, która już nie była naiwnem dzieckiem, która ją rozumiała i którą mogła rozumieć.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

Nasza obecna polityka gospodarcza może być zupełnie słusznie nazwaną „polityką oszczędności“. Postępujemy w tym kierunku w myśl wezwania Hoovera, który, bawiąc swojego czasu w Europie, nawoływał jej ludy do pracy i oszczędności, aby mogły sprostać zobowiązaniom, zaciągniętym zwłaszcza wobec Ameryki, która bardzo chętnie spieszy z pomocą potrzebującym, ale każe sobie za to dobrze płacić.

U nas zastosowano się do wezwania Hoovera tylko połowicznie, to jest, o ile to dotyczy oszczędności na różnych polach. Stosuje się je, gdzie potrzeba i gdzie nie potrzeba i, przyznać trzeba, nie zawsze ze skutkiem. Pracę natomiast ograniczono do ośmiu godzin dziennie, zapewne dlatego, aby zaoszczędzić sił na przyszłość, co jest zresztą bardzo mądrze obmyślane, jeśli się zważy, że obecnie pracujemy dla innych, a później dopiero możemy zacząć pracować dla siebie.

Jak zaś wygląda w praktyce owo stosowanie zasad oszczędności w rozmaitych dziedzinach życia o tem możemy się bardzo łatwo przekonać na każdym kroku. W różnych urzędach nie załatwia się „kawałków“, aby oszczędzić na papierze i atramencie, w mieście ze względów oszczędnościowych nie naprawia się chodników i bruków i nie zamiata śmieci, czekając na „pomyślne wiatry“, które je tanim kosztem wywieją za rogatki miasta. Na razie Zakład oczyszczenia miasta nie ma szczęścia. Wiatry wieją wprawdzie, ale nie w stronę rogatek, lecz w kierunku śródmieścia i zamiast zabrać ze sobą śmieci, przynoszą stamtąd nowe ich zapasy. W najbliższym czasie według zapewnień Obserwatoryum astronomicznego, spodziewane jest jednak polepszenie. Zmieni się kierunek wiatru, z nim zaś nastanie w mieście tak upragniony porządek. Trzeba tylko poczekać cierpliwie, krócej lub dłużej, co nam, w cierpliwość tak wprawionym, z pewnością nie sprawi trudności.

Podobnie ma się rzecz i z wodociągiem miejskim, który, posłuszny ustawie pracuje także ośm godzin dziennie (o ile naturalnie coś mu nadprogramowo nie pęknie...) poza tem zaś przez szesnaście godzin na dobę spoczywa.

Czy oszczędność ta osiąga spodziewane rezultaty, o tem różni różnie mówią. Nasze panie gospodynie są na punkcie wody bardzo czułe, wiedząc zatem, że wodociąg przez całe popołudnie i całą noc odpoczywa, robią też zapasy „na wszelki wypadek“. Łapie się zatem wodę do konewek, balii, garnków i beczek, po największej części po to jedynie, aby ją potem wylać, gdy z wodociągu znów kapie. Na noc, zwłaszcza przed „wielkiem praniem“, zostawia się kurek od wodociągu odkręcony, aby wiedzieć, kiedy „będzie woda“. Wielu osobom zastępuje on budzik, a „kapanie“ przypomina, że czas już wstawać.

Jeśli się jednak zważy, że czasem i w nocy wybuchają pożary, co pociąga za sobą przywrócenie dopływu wody do miasta na pewien czas, możemy sobie wyobrazić, ile jej idzie na marne, nikomu bowiem nie chce się wstać z łóżka, by kurek zakręcić, skoro to prędzej czy później zrobi dozorca zbiornika na Zwierzyńcu.

Opowiadają sobie ludzie na ucho o pewnym dowcipnym jegomościu, który wprawdzie „wodnych zapasów“ na noc nie robi, ale, ile razy zechce mu się w nocy pić, urządza się bardzo pomysłowo.

Podpatrzył on na Strażnicy pożarnej, w jaki sposób zawiadamia się dozorcę zbiornika na Zwierzyńcu o wybuchu ognia, żądając przywrócenia dopływu wody, ponieważ zaś ma u siebie w domu telefon, ilekroć mu nocną porą dokucza pragnienie, łączy się ze Zwierzyńcem i woła:

— Hallo!... Tu Straż ogniowa... Proszę otworzyć wodociąg, sygnalizowane bowiem ogień na Kleparzu...

W oczekiwaniu na świeżą wodę, pozwoli jej należycie odpłynąć, aby się rura wypłukała, gdy zaś ugasi już pragnienie, dzwoni znowu:

— Hallo!... Wodociąg można zamknąć, alarm był fałszywy.

Dozorca zbiornika ani nawet nie przypuszcza, że przerwano mu miły sen dlatego tylko, aby się jeden obywatel mógł napić świeżej wody, ale przeczuwają to, zdaje się, rury wodociągowe, które pękają z irytacyi, że się ludzie tak łatwo biorą na kawał. I, jeśli natura obdarzyła je darem mowy (co u rozumnych „rur“ się spostrzega...) z pewnością powtarzają sobie z bólem:

— I na co się przyda cała ta magistracka gospodarka oszczędności?... Oszczędza się pięć litrów, a marnuje pięćset!...

Rury w tym wypadku nie mają jednak racyi... Zamykanie wodociągu, zwłaszcza na noc, ma także i swoje dobre strony, przyczynia się bowiem do podnoszenia temperatury, co, zwłaszcza w porze zimowej i przy dokuczającym nam braku węgli, jest bardzo pożądane.

Powie kto może:

— Kronikarzu!... Kpisz, czy o drogę pytasz? Jakiż związek może mieć zamknięcie wodociągu na całą noc z podniesieniem się temperatury?...

Na oko może się to komu wydawać i dziwnem, że tak jednak jest, a nie inaczej, przyzna chyba każdy, kto czytuje gazety i z nich dowiaduje się, że przy ulicy Montelupich spaliły się magazyny wojskowe, zanim woda pojawiła się w wodociągu, a ten sam los spotkał niedawno baraki epidemiczne w ogrodzie Bonifratrów i tak dalej... Chyba zaś nikt nie zaprzeczy, że ogień, zwłaszcza zaś poważniejszy, musi się przyczynić do ogrzania powietrza, na czem mogą tylko dobrze wyjść mieszkańcy miasta, którym, w dodatku, nie każe się nic za to dopłacać.

Niema zatem złego, aby na dobre nie wyszło, ma i zamykanie wodociągu swoje dobre strony, narzekania więc w tym kierunku nie są zupełnie uzasadnione. Magistrat ogłosił wprawdzie w niedzielę pasterski list do mieszkańców miasta w sprawie wodnej, zapewniając solennie, że wodociąg się już w najbliższym czasie gruntownie poprawi i będzie funkcyonować także i popołudniu. Wzywa zatem ogół, aby nie robił na przyszłość zapasów, ale oszczędzał. Czy się to wezwanie zda na co, trudno dziś powiedzieć. Kto się raz już sparzył na magistrackich obietnicach, ten i nadal będzie robić tak, jak to czynił dotąd. Lepiej potem wylać niepotrzebną wodę do zlewu i w ten sposób go przepłukać, co jest zresztą wskazane ze względów hygienicznych, niż cierpieć pragnienie. A nie każdego stać na to, by je gasił piwem, zwłaszcza, że ono jak stwierdzono doświadczeniem, jeszcze zwiększa.

Minęły się też z celem oszczędnościowe zarządzenia pana ministra aprowizacyi, który w ten sposób chcąc sobie zaoszczędzić kłopotów, chwycił się praktyk, jakie stosował bł. p. rząd austryacki, niewyczerpany, o ile chodziło o wymyślanie ustawowych nonsensów. W poprzednim numerze zaznaczyliśmy wprawdzie, że zakaz spożywania w niektóre dni potraw mięsnych i inne tego rodzaju zarządzenia wpłynąć muszą dodatnio na nasz handel wewnętrzny i z zagranicą, nie możemy się przecież wstrzymać od uwagi, że ogół przemysłowców, pracujących w tym dziale, dobrze na tem nie wyjdzie, lecz tylko poszczególne jednostki, które wychodzą z zasady, że „dziad swoje, a baba swoje“. W tym zaś wypadku jest dziadem pan minister aprowizacyi, wydający zakazy, a babami ci, którzy się do nich nie stosują.

Ludzie chcą jeść, a nawet muszą, trzeba zatem zadośćuczynić ich żądaniom, aby z głodu nie pomarli. W bezmięsne dni wolno zatem podawać ryby, zaś u nas trudno o nie, jak się o tem mogliśmy przekonać przed Bożem Narodzeniem, w myśl przysłowia, że „na bezrybiu i rak ryba...“ i zastępuje się je nie rakami wprawdzie, gdyż obecnie jest na nie czas ochronny, lecz wołowiną, wieprzowiną i cielęciną pod zmienionem nazwiskiem. Można zatem dostać w restauracyi „kotlet z karpia“, „polędwicę ze szczupaka“, „żeberko z lina“, odpowiednio drogie, ze względu na cenę ryb i z dodatkiem pewnego procentu na pokrycie ewentualnej grzywny, gdyby przypadkiem organa kontrolne były zdania, że ten szczupak nosił za życia rogi na głowie i zapewne przez pomyłkę nazywał się... wołem, zmienił zaś nazwisko, nie mając na to pozwolenia władz, co jest właśnie karygodnem.

Otóż w tem sęk właśnie, że owa metamorfoza poczciwej świnki na karpia odbywa się w niektórych tylko jadłodajniach, których właściciele mają bardziej czułe serca dla bliźnich i radzi są, gdy mogą „głodnego nakarmić...“, gdy natomiast inni nie tak cnotliwi, trzymając się ściśle zarządzeń ministeryalnych, każą się gościowi obejść smakiem, co wprawdzie nic nie kosztuje, ale też i nie syci.

I jakież tego następstwo?... Lokale owych „cnotliwych“ są pełne, gdy natomiast tych drugich świecą pustkami. Za swoje pieniądze chce każdy porządnie zjeść i wypić, idzie też tam, gdzie mu tego nie żałują, o pieniądze się nie troszcząc, gdyż ma ich dosyć. Cnotliwi restauratorzy cieszą się z tego i powiadają, że ich Pan Bóg za ich dobre serce dla bliźniego nagradza już na tym świecie.

Ten system oszczędności nie przyczynia się zatem do robienia jakichkolwiek oszczędności w dziedzinie aprowizacyi, natomiast przysparza jednym zmartwień, drugim pieniędzy.

W każdym razie przyznać się musi, że zarządzenia pana ministra aprowizacyi odniosły już częściowo skutek. Ludność odzwyczaja się powoli od jedzenia, o czem świadczy zawiadomienie, iż z ubiegłego tygodnia pozostało w sklepach rejonowych sporo niepobranego chleba kontyngentowego. Tłómaczą to zbliżającem się latem i brakiem potrzeby kitowania okien, do czego chleb ten wybornie się nadawał. Inni są zdania, że wchodzi tu w grę i podrożenie gorzkiej wody, uznanej przez warszawskie sfery za artykuł zbytku.

Zatem przednowek, który się powinien obecnie rozpocząć, jakoś przetrzymamy, choć zdawałoby się na oko, że będzie ciężkim. Niedawno znalazł się kronikarz w pewnej jadłodajni, gdzie za jajko ugotowane „na twardo“ kazano mu zapłacić... czternaście marek. Było ono, trzeba przyznać, całkiem twarde i to była jego jedyna zaleta, ale też i bardzo małe, jak gdyby wojna miała wpływ i na wielkość naszych jaj.

Zjadłszy jajo, trzeba się było pogodzić z przykrą rzeczywistością i zapłacić za nie. W tym momencie przypomniał się przednowek, zapowiadający się niezbyt różowo, obudziło się zarazem uczucie zazdrości wobec tych, którzy mają swoje własne kury. Posiadacz kurki może się dziś uważać za szczęśliwszego od tego, który kupił sobie „milionówkę“ i czeka na wygraną (w dziwny sposób omija ona dotąd stale Kraków, jak gdyby czuła doń jakąś urazę...). Sumienna kurka znosi w tygodniu do czterech jaj, nie krępując się nawet ustawą o spoczynku niedzielnym, gdy natomiast milionówka jedno jedyne w roku, w dniu 1 października pod postacią kuponu, za który można dostać czterdzieści marek. Prawda, że może ona znieść i złote jajko, to jest przynieść właścicielowi okrągły milion, do tego atoli trzeba mieć szczęście i cierpliwość, rozłożoną na dwadzieścia lat. Kura zatem, jak się z tego okazuje, jest korzystniejszą lokatą kapitału, niż milionówka.

Kto czytuje „Kuryerka“, ten się przednowku nie obawia, tego roku bowiem go nie będzie. Po Wielkanocy zaczyna się dalsza serya karnawału, czego dowodem „Reduta wiosenna“, urządzona w „Bagateli“, będąca niewątpliwie początkiem całego szeregu podobnych zabaw, które pozwolą zapomnieć o kłopotach, jakie temu lub owemu dolegają.

Wojna zatem, która nie została bez wpływu na na wielkość naszego, tak umiłowanego niegdyś poczciwego chłopka polskiego, a dziś najgorszego gatunku paskarza i bezwzględnego zdziercę częstokroć lichy i podrabiany towar za horendalne ceny sprzedającego, nie chcącemu rządowi a niejednokrotnie swemu bratu z pod strzechy przyjść z pomocą, nie została bez wpływu na wielkość jaj kurzych, nie oszczędziła i kalendarza skoro mamy w dalszym ciągu dla jednych wielki post, dla drugich karnawał i reduty z wstępem po pięćset marek od osoby, a trzy tysiące za lożę, nie licząc „drobnych wydatków“ na szampana i t. d. Oszczędzi się przynajmniej na „szperze“, wracając pod dach rodzinny dopiero rano, gdy brama już otwarta.

Skoro mamy zatem karnawał wiosenny nie mamy *eo ipso* przednowku, który, o ile po wiosennym nie nastąpi letni, odłożony zostanie na czas po żniwach, to jest wtedy, gdy agraryusze zbiorą zboże i omłócą, aby odstawić paskarzom, wobec czego nie mogą się zająć dostarczeniem go władzom aprowizacyjnym.

Nauczone doświadczeniem, po karnawale wiosennym, ewentualnie zaś i letnim, gotowe władze zapowiedzieć karnawał jesienny, potem zaś zimowy, a rozbawiony naród nie pomyśli o tem, aby komu kłopotać głowę jakiemiś tam żądaniami chleba lub czegoś podobnego.

Są wprawdzie żałośnie kraczące kruki (bo i gdzie ich nie brak!...), które utrzymują, że te „dodatkowe karnawały“ są jedynie dla wybranych, gdy natomiast ogół obchodzi jak rok długi przednowek (wielki post, dzięki „tańczącym śledziom“ wyszedł już z mody...) i, że racyonalne przeprowadzenie oszczędzania na wszystkiem jest bardzo wskazane, kto tam jednak zważałby na te głosy... Przechodząc nad nimi do porządku dziennego, oszczędza się samemu sobie irytacyi.

Pod tym względem należy się zastosować do wezwania Hoovera, o ile nie jest się mu posłusznym w całej pełni, nie leniąc się i do pracy... w pasku, która jedynie pozwala nam brać osobisty udział w „Redutach wiosennych“, stwierdzających ponad wszelką wątpliwość, że nie jest u nas tak źle, jak na to narzekamy, że czas zatem najwyższy, aby się wyleczyć z niepotrzebnego pesymizmu, mogącemu nam jedynie zaszkodzić wobec zagranicy. A tego powinniśmy i sobie i krajowi oszczędzić.

„Oszczędnością i pracą ludzie się bogacą“, mówi stare przysłowie i ma racyę. — Pracować należy... w pasku, oszczędzać zaś sobie kłopotów, a wtedy będzie nam dobrze.

Nieudała wyprawa po koronę węgierską.

Niebywałego rumoru narobiła w całym świecie niespodziewana przez nikogo podróż b. cesarza Karola na Węgry. Przybył tam w przeddzień świąt



Nieudała wyprawa po koronę węgierską: Karol Habsburg, b. cesarz Austryi i król Węgier (najnowsze zdjęcie z czasów pobytu w Szwajcaryi).

Wielkiejnocy i zatrzymał się początkowo u biskupa Steinamanger.

Pierwsze telegramy, które o tem zawiadomiły świat, doniosły równocześnie, że do dyspozycyi b. królowi oddała się stojąca w okolicy dywizya wojsk węgierskich pod komendą pułkownika Lehara, że ze wszystkich stron kraju napływają deputacye hołdownicze. Można z tego było wnosić, że powrót Habsburgów na tron węgierski jest zapewniony, dalszy ciąg wydarzeń dowiódł przecież, iż obawy były przedwczesne.

Z czyjej namowy przybył Karol na Węgry, jest to tajemnicą. Najprawdopodobniej wchodzą tu w grę wpływy jego małżonki, nie mogącej się z tem pogodzić, iż jest zwykłą obywatelką, a nie królową ani cesarzową. Wiadomości, jakoby rząd francuski miał się godzić na restauracyę Habsburgów, okazały się wyssane z palca.

Mocarstwa koalicyjne zajęły wobec powrotu Karola na Węgry od pierwszej chwili zdecydowaną postawę. Oświadczono, że traktat w Neuville musi być dotrzymany. Także państwa sąsiadujące z Węgrami jak Rumunia i sukcesyjne, wystąpiły bardzo stanowczo, oświadczając, iż powrót Karola na Węgry uważałyby za casus belli.

Na cele plebiscytu.

Nasze komitety górnośląskie rozsiane po całym kraju, musiały się uporać z ciężkiem zadaniem, jakie je czekało. Trzeba było przedewszystkiem zająć się Górnoślązakami, przebywającemi w ich okręgach, wynaleźć ich i wysłać do miejsca głosowania, co najmniej zaś do głównej stacyi zbiorowej, jaką było Stow. Obrony Kresów zachodnich w Krakowie, które zajmowało się gorliwie ich dalszą wysyłką.

Na ten cel trzeba też było postarać się i o pieniądze, a zabieganie o nie nie jest tak łatwe, jeżeli się zważy, że u nas najofiarniejszą częścią społeczeństwa są właśnie ci, którzy mają sami bardzo niewiele. Dają chętnie, ale mało, gdy natomiast ci, którzyby mogli wesprzeć cel szlachetny, ściskają kurczowo swój mieszek i sami gotowi byliby wziąć, gdyby kto chciał im dać.

W trudnych warunkach przyszło zatem pracować Komitetom górnośląskim, a głównym ich celem było przysparzanie funduszów. Do kieszeń ofiarodawców pukano w najrozmaitszy sposób i cel osiągnięto. Kraj nasz choć sam ubogi poparł akcyę plebiscytową bardzo poważnie.

Lwowski Komitet chwycił się bardzo skutecznego środka, który kasę jego pokaźnie zasilił. Oto, korzystając z zamiłowania sfer sportem się zajmujących, zwłaszcza zaś młodzieży, do zapasów atletycznych, urządził w tamtejszym „Sokole“ cały szereg spotkań między atletami. Matche te obfitujące w szereg bardzo ciekawych momentów, cieszyły się bardzo liczną frekwencyą publiczności i zasilały poważnie kasę Komitetu, żywiącego dla biorących w nich czynny udział amatorów szczerą wdzięczność za poparcie jego celów.

Powrót pierwszej partyi jeńców polskich i zakładników z Rosyi.

(Do illustracyi na stronie 8.).

W ciągu minionej wojny bardzo wiele osób pochodzenia polskiego dostało się do niewoli rosyjskiej, już to jako jeńcy wojenni, już to jako zakładnicy.

Rząd rosyjski, tak carski jak i bolszewicki, wywoził w głąb Rosyi tysiące Polaków, cywilnych



Po plebiscycie: Grupa lwowskich amatorów-atletów.

Z Steinamanger udał się ex-król Karol samochodem do Budapesztu, gdzie odbył konferencyę dłuższą z naczelnikiem państwa Hortym, który wytknął mu całą niestosowność i bezowocność jego postąpienia. Horty nakłonił Karola do powrotu do Steinamanger, a następnie do opuszczenia granic Węgier, co się też stało.

Z Szwajcaryi na Węgry odbył Karol podróż pod zmienionym nazwiskiem, powrót nad jezioro Genewskie odbył się pod dozorem oficerów koalicyjnych. Jak się zdaje rodzina b. cesarza będzie obecnie zmuszoną przenieść się na stały pobyt do Hiszpanii.

i wojskowych. Weszło zwłaszcza w modę branie zakładników. Brano ich, posuwając się naprzód, brano cofając się, a traktowano ich na równi z najzwyklejszymi zbrodniarzami. Opłakanym ich losem zajął się „Czerwony Krzyż“, dokładając starań o uwolnienie zwłaszcza zakładników, których więzienie nie było podyktowane żadną koniecznością wojenną. O ile starania te podejmowane były przez zagraniczne misye „Czerwonego Krzyża“, spotykały się z odpowiedzią rychłego ich uwolnienia, natomiast członkowie polskiego „Czerwonego Krzyża“ narażeni byli niejednokrotnie na rozmaite szykany i więzienie. Układ między Polską a Rosyą, dotyczący repatryacyi jeńców wojennych i zakładników, został wprawdzie dawno podpisany, władze bolszewickie nie spieszyły się bynajmniej z jego wykonaniem. Z tego powodu odbył się w dniu 5 b. m. staraniem Ligi antibolszewickiej ogólny wiec obywatelski w Warszawie, mający na celu omówienie sprawy koniecznego przyspieszenia powrotu naszych męczenników.

Pierwszy transport jeńców wojennych i zakładników w liczbie 427 osób przybył już do Baranowicz 19 marca r. b. Drugi z kolei, obejmujący 587 osób, spotkano na terenie pasa neutralnego na stacyi Niegoriełoje w dniu 21 marca. Drugi transport powitany był tylko przez przedstawicieli polskiego Tow. „Czerwonego Krzyża“, przy braku udziału władz polskich. Powracający otrzymali w Horodziei suty posiłek z czynnego tam stale posterunku żywnościowego pol. Tow. „Czerw. Krzyża“.

Podkreślić należy, iż komendant bolszewicki, eskortujący pociąg z zakładnikami, dopuszczał się stale nadużyć, żywiąc ich jedynie suchym chlebem, resztę produktów z wyznaczonych racyj, sprzedawał, otrzymane zaś pieniądze przywłaszczał sobie. Dzięki usilnej interwencyi przedstawicieli polskiego „Czerwonego Krzyża“, władze sowieckie nadesłały formalne zapewnienie, iż wypadki podobne już się nie powtórzą, winny zaś przekroczenia służbowego komendant będzie niezwłocznie postawiony przed sąd i rozstrzelany.



Wykrycie szajki fałszerzy monet: Insp. policyi lwowsk. Jan Dwornicki, zasł. głównie około wykrycia fałszerzy monet

Pomiędzy wracającymi z niewoli bolszewickiej znalazł się i p. Stanisław Zieliński, który wyjechał z Warszawy w listopadzie r. 1919, jako członek polskiej misyi „Czerwonego Krzyża“. Misya miała się zaopiekować uchodźcami naszymi na Ukrainie. Zajęcie Kijowa w grudniu 1919 r. przez bolszewików, uniemożliwiło pracę misyi. Wypadło jej członkom poprzestać na zadaniu skromniejszem i zaopiekować się tymi, którzy, uciekając przed piekłem bolszewickiem, na granicy rosyjsko-rumuńskiej w Tyraspolu bezskutecznie tentowali o przejście przez Rumunię do Polski.

W najniebezpieczniejszej chwili p. Zieliński objął posterunek w tylnej straży misyi i do ostatniej chwili nie opuszczał pozostawionych jego pieczy chorych i rekonwalescentów.

Odcięty wraz z nimi przez kawaleryę bolszewicką w chwili, kiedy wyprawiał ostatni transport do Rumunii, cudem tylko pozostał przy życiu.

Uwięziony wkrótce potem wraz ze swymi towarzyszami i powiernikami, którzy go w chwili krytycznej opuścić nie chcieli.

Przywieziony wraz z nimi do Charkowa doświadcza po raz pierwszy rozkoszy stosunków z „Czrezwyczajką“. Siedzi z początku w podziemiach komendantury „czrezwyczajki“ ukraińskiej, potem w charkowskiem więzieniu katorżnem.

Po krótkiej przerwie rozpoczyna się dla niego nowy okres wędrówki po więzieniach moskiewskich, aż wreszcie trafia do słynnych „Butyrek“.

Tu pozbawiony wszystkiego, odcięty od całego świata, spędza w kamiennej klatce bez powietrza i słońca przeszło trzy miesiące wśród skazanych na śmierć, w oczekiwaniu nieuniknionego końca...

Aż wreszcie w drodze łaski przenoszą go do ogólnego więzienia, gdzie w towarzystwie złodziei

i bandytów spędza czas do chwili, kiedy starania czynników miarodajnych wydobyły go wreszcie na wolność w połowie marca.

Za ten okres piętnasto-miesięczny przesunęły się przed jego oczami długie szeregi typów rosyjskich od „Czekistów“ moskiewskich aż do wysokich dygnitarzy kościelnych i wojskowych, zaludniających dziś więzienia rosyjskie.

Przy tej sposobności sprawdzić mógł wartość wszelkiego rodzaju ukutych na bruku warszawskim teoryj co do przyszłości Rosyi sowieckiej i Ukrainy, przyjrzał się warunkom życia przeciętnego obywatela tych krajów, ich psychologii, ich stosunkom do wolnej Polski.

Wykrycie szajki fałszerzy monet.

Od roku już pojawiały się na bruku lwowskim fałszywe banknoty markowe, dolarowe i koronowe, które zwróciły baczniejszą uwagę władz naszych.



Z działalności Akadem. Związku Sportowego w Krakowie Rozwój budowy wiosła zastosowanego do najnowszych wymagań sportu.

Od czasu do czasu przyłapano tu i ówdzie jakąś osobę, która mieniała banknot 1000 markowy, lecz trudno było dojść do źródła, z którego tak obficie płynęły falsyfikaty.

Już w kwietniu zeszłego roku inspektor policji lwowskiej Jan Dwornicki wpadł na trop fałszerstwa monet czeskich, puszczanych w obieg we Lwowie. Żmudne śledztwo znalazło swój finał w Warszawie, gdyż tam zbiegły się wszystkie nici szeroko rozgałęzionego oszustwa. Lejba Siman, zamieszkały w Warszawie ul. Nalewki l. 23. wszedł w spółkę z niejakim Tyszeborem, który postarał się o sporządzenie klisz kosztem 12 tysięcy marek. Klisze te wykonał Królikowski, a trzecim „przedsiębiorcą“ był Brilant— Stein.

Po wydrukowaniu banknotów około 40 tysięcy koron fałszywych przywieziono do Lwowa celem wymiany ich w tutejszym banku praskim. Pomocnym w tej manipulacyi był urzędnik Banku praskiego Posament.

Mimo, iż fałszerze monet znaleźli się pod kluczem, w obiegu pojawiały się coraz dalsze falsyfikaty na co lwowska policya zwróciła baczną uwagę i rozwinęła w tym kierunku cały aparat śledczy, uwieńczony wreszcie pomyślnym rezultatem.

W ręce policyi dostali się między innymi, Abracham Lejzor, Just false Belf, liczący lat 27, rodem z Rawy Ruskiej, w mieszkaniu przy ul. Jakuba Hermana l. 14. oraz Józef Schlösser właściciel zakładu cynkograficznego „Unia“, przy ul. Sykstuskiej l. 10, zamieszkały przy ul. Ogrodniczej w Zamarstynowie. Schlösser wykonał klisze cynkowe z rysunków banknotów.

Just natomiast był główną sprężyną całego tego przedsięwzięcia. W b. drukarni Wilhelma Goldsteina przy ul. Kazimierzowskiej za czasów austryackich fabrykowano karty cukrowe.

Przed zamknięciem tej drukarni przez wiśnie Goldstein zdołał wynieść dwie ręczne prasy (bostonki), na których ostatnio fabrykowano banknoty. Druk odbywał się w kilkunastu miejscach, a po dokonaniu odbitek, maszynę tę rozbierano i ukrywano części składowe.

W sprawę tę wmięszanych jest zresztą więcej osób.

Z działalności Akademickiego Związku Sportowego w Krakowie.

Zajęcie się sportem, w najróżnorodniejszych jego przejawach, zatacza u nas coraz to szersze kręgi. Przeszczepiony do nas z Zachodu, rozwija się coraz pomyślniej, a zamiłowanie do niego rośnie z każdym dniem we wszystkich warstwach społeczeństwa. Sport łączy przyjemne z pożytecznem, stanowiąc nietylko miłą rozrywkę, ale przyczynia się także u młodego pokolenia do wyrobienia tężyzny fizycznej, nie pozostającej bez wpływu i na ducha, w myśl starej zasady „w zdrowem ciele silny duch“.

Ważność i znaczenie rozrywek sportowych w dziedzinie wychowania młodzieży uznano już ogólnie, zachęca się też młode pokolenia do brania jaknajżywszego w nich udziału.

W życiu sportowem Krakowa zapisał się już bardzo pochlebnie Akademicki Związek Sportowy rozwijający się bardzo pomyślnie, zwłaszcza w dziedzinie wioślarstwa osiągnięto już w latach poprzednich bardzo poważne rezultaty, a jeśli gdzie, to tutaj, spotykamy się z praktycznem połączeniem „przyjemnego z pożytecznem“. Mamy tu na myśli wyrób przez Akademicki Związek Sportowy łodzi i wioseł, sprowadzanych dotychczas z zagranicy, nie ustępujących pod względem jakości obcym, nawet je przewyższających. Krakowskie łodzie i wiosła spotkały się też z uznaniem kół sportowych w kraju, a Warszawa zamówiła pokaźną ich ilość. Popiera się w ten sposób wytwórczość krajową, a poważne sumy, wydawane przedtem na te cele, pozostają u swoich. Młodzież, zajęta wyrobem, spędza czas przyjemnie i pożytecznie i nabiera zamiłowania do uczciwej pracy.

Krakowskie łodzie, w szczególności zaś wiosła są odmiennego typu od zagranicznych. Jest to pomysł p. Rudego, kierownika sportowego i warsztatów A. Z. S.

Pozatem dzięki staraniu Związku urządzone będą już w tym roku kąpiele słoneczne nad Wisłą, których brak tak się nam odczuć dawał.

Ludo.



Z sali koncertowej: St. Gruszczyński, znakomity artysta Opery lizbońskiej, w jednej z swych ról popisowych.

Z SALI KONCERTOWEJ.

Stanisław Gruszczyński

pierwszy tenor bohaterski Opery Wielkiej w Lizbonie, wystąpi w Krakowie tylko raz jeden, a to w niedzielę dnia 17 b. m. w sali „Sokoła“ na zaproszenie „Krakowskiego Biura Koncertowego E. Bujański“.

Prasa portugalska i hiszpańska zamieszczając obszerne sprawozdania po każdej kreacyi Gruszczyńskiego — przyjęła naszego rodaka z ogromnym entuzyazmem, porównując go ze znakomitymi śpiewami włoskimi, jak: Paganelli, Giovanni i Dolei.

Znakomity nasz artysta, który pozyskany został na letnie stagione operowe w Londynie, zabawi w Polsce bardzo krótki czas.



Z działalności Akadem. Związku Sportowego w Krakowie: Budowa łodzi ofiarowanej przez słuchaczy Akademii górniczej Związkowi w jego warsztatach pod kierunkiem p. Rudego.

Ze sportu.

Match footballowy o mistrzowstwo klasy „A“.
„Wisła I.“—„Cracovia I.“ — 0:3.

Wysokie zainteresowanie, jakie budzą spotkania „Wisły“ z „Cracovią“ i tym razem nie zawiodły. Tysięczne tłumy publiczności zaległy plac igrzysk, ażeby śledzić przebieg gry między sławnymi rywalami krakowskimi. Drużyny wystąpiły w możliwie jaknajlepszym składzie.

Przebieg gry był od pierwszej chwili wysoce interesujący. „Cracovia“ owładnęła technicznie boisko atakując bez wytchnienia.

Atak „Cracovii“ wykazał tym razem grę bardzo ładną, a najbliższe spotkania przyniosą nam z pewnością jeszcze lepsze rezultaty. Na pierwszy plan przed pauzą wybijał się Cikowski. Gra jego pewna, ładna, polegająca na technice i kombinacyi zachwycała widzów, a jako środkowy pomocy ma zawsze pole do popisu. O p. Kałuży uważamy już za niestosowne poruszać jego grę, gdyż jest on ogólnie znany jako dusza „Cracovii“, zgrani z Kotapką i Kogutem, tworzą całość ataku bardzo groźnego.

„Wisła“ nie wykazała nam tego, co powinniśmy od niej wymagać, jako rywala, który od kilku lat chce zdobyć palmę mistrzowstwa pierwszej klasy. Brak trainingu, zgrania i kombinacyi jak również oryentowania się na boisku wysuwa się na pierwszy plan, mamy na myśli p. Danza, który ze swoimi „off'seidami“ był wprost niemożliwy i przyczynił się w wielkim stopniu do klęski swej drużyny, tamując cały atak i kombinacyę, którą mogła „Wisła“ wykorzystać.

Pierwszy punkt „Cracovia“ uzyskuje w 9 tej min. przez Kałużę.

Po pauzie „Wisła“ grała z wiatrem, lecz mimo to nie mogła się zdobyć na odwet. „Cracovia“ pracuje skutecznie i w 30 tej min. uzyskuje punkt

drugi, w minutę później punkt trzeci, zdobyte przez p. Kałużę.

Sędz'a p. inż. Rosenstock zasługuje na wzmiankę, opanowawszy w zupełności graczy, zdobył ogólne uznanie ze strony publiczności; jako sędziowie liniowi byli p. kap. Konkiewicz i p. Seidner.

Match powyższy poprzedziło rozegraniem o mistrzowstwo Klasy „B“:

„Makkabi II.“—„Cracovia II.“ — 2:4.

* * *

Dnia 9 b. m. odbył się match footballowy na boisku sportowem „Makkabi“ o mistrzowstwo klasy „A“, między:

„Makkabi I.“—„Jutrzenka I.“ — 4:1.

„Makkabi“ tym razem wyszła zwycięsko, chociaż pod względem gry nie zasługiwała na to. „Jutrzenka“ może przypisywać swą klęskę, swemu nieudolnemu bramkarzowi. *Ezdo.*

Od Administracyi.

Z numerem niniejszym rozpoczęliśmy drugi kwartał naszego Wydawnictwa. Upraszamy zatem Szanownych P. P. Prenumeratorów naszych, o rychłe nadesłanie prenumeraty na drugi kwartał 1921 roku, celem uniknięcia przerwy w przesyłce, kto jej bowiem nie nadeśle, następnego numeru już nie otrzyma.

Prenumerata wynosi:

Kwartalnie	197·60 Mkp.
Półrocznie . . .	395 20 „
Rocznie	790 40 „

Pojedynczy egzemplarz **Mkp. 16.**

Od Wydawnictwa.

Szanownych P. T. Odbiorców prowincyonalnych prosimy o wyrównanie zaległych rachunków, w przeciwnym razie wstrzymamy wysyłkę.

Nadesłane.



Match footballowy o mistrzowstwo klasy „A“: Jeden z decydujących momentów spotkania „Cracovia“—„Wisła“.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Grzebieniówka.

Ułożył M. N., Lwów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd poziomy utworzy nazwę jednego z miast rosyjskich, o którem niedawno wiele mówiono:

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
— — — — —
— — — — —
— — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Półwysep w Europie półn., 2. Jeden z kalifów, 3. Dopływ Wisły, 4. Imię męskie, 5. Strój rzymski.

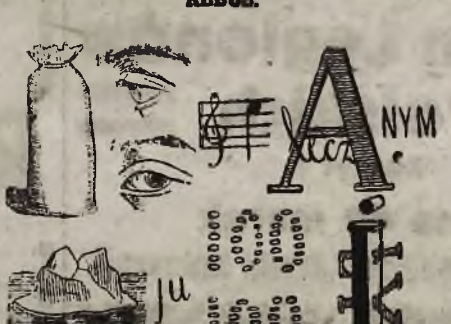
Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył X. Y., Łódź.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą jeden z obecnych kłopotów angielskich:

— oła
— oga
— ota
— pis
— ota
— oła
— eda
— gat
— ega
— ips
— eda
— mam
— ran

REBUS.



Okienko.

Ułożył J. Dębski, Warszawa.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym:

a	a	b	e	e
e		e		f
f	f	f	j	m
m		o		o
r	r	s	n	u

Znaczenie wyrazów: 1. Bolszewicki polityk, 2. Słabość, 3. Uroczystość ludowa w Krakowie.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) A. Gruszeckiego „W c. k. urzędzie“ (powieść); 2) Kalendarz familijny na r. 1921.

Rozwiązanie zagadek z Nru 14.

Logogryf: A, Opa, Karol, Brody, Kowno, glina, Kazań, brama, ·aoek, syn a.

Łamigłówka literacka: Ostatni z Siekierzyńskich, Radcy pana radcy, Ogniem i mieczem, Treny.

Grzebieniówka: Pola, l, Ebro, b, Iran, s, Oisa, y, Tuła.

Okienko: Styka, Ypres, arsen.

Kwadrat magiczny: Ryga, York, grot, akty.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: W. Teodorowicz Warszawa, Z. Zawadzki Stryj, J. Jabłoński Lublin, J. Martynowicz Kraków, J. Bielawski Rzeszów, S. Piekarski Poznań, K. Dębicki Sambor, S. Marzec Krasne, M. Mańkowska Warszawa, M. Woźniakowski Warszawa, W. Lange Toruń, J. Kalinowski Poznań, J. Has Kraków, W. Dutkiewicz Przemyśl, W. Smiszkiewicz Milówka, M. Lisowski Stanisławów, H. Malinowski Warszawa, K. Radziszewski Warszawa, K. Cegielski Wadowice, K. Zborowski Stanisławów, H. Balicka Biała, W. Śmieszek Lublin, H. Walewska Kraków, M. Wysocka Jasło J. Opolski Łódź, M. Ostrowska Lwów, K. Zieliński Zalesie, M. Michalczyk Poznań, S. Sadowski Warszawa, S. Kowalski Warszawa, J. Wierzbicki Piotrków, S. Zajączkowski Rzeszów, W. Rozwadowski Poznań, W. Zubicka Warszawa, M. Jasińska Lwów, S. Kowal Warszawa, E. Darowska Warszawa, M. Więckowski Warszawa, H. Galińska Tarnów, J. Martynowicz Lwów, J. Orzechowski Stryj, J. Sadowski Kraków, T. Cisowski Zakopane, H. Waligórski Tarnów, M. Kwiatkowska Warszawa, H. Maciejowski Lwów, M. Ogińska Nowy Sącz, K. Dębiński Jasło, H. Samocka Stanisławów, W. Witowska Warszawa, J. Nowak Sandomierz, H. Bortyńska Poznań, S. Sokołowski Lwów, S. Zakrzewski Sandomierz, S. Sygowska Rzeszów, S. Grabowski Wadowice, M. Brandys Kraków, H. Blonder Chrzanów, Jasio i Marylka Kubicówna Kraków, C. Górny Limanowa.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) W. Teodorowicz Warszawa (książka), 2) H. Balicka Biała (kalendarz). Upraszamy o nadesłanie należytości na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Właściciel i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Karczmarskiego.